





Długo sobie pisani

Życie dało im popalić. Małgosia ma za sobą toksyczny związek i walkę o siebie, Andrzej – śmierć syna, nieudane małżeństwo, zdradę przyjaciół i szok wywołany nieuleczalną chorobą. Na przekór wszystkiemu odważyli się być razem. Dźwigają się

Słońce rozlewa się po mieszkaniu Małgosi i Andrzeja na lubelskim osiedlu Czuby. Łaszą się do nóg psy. Jasno. Ciepło. Skromnie.

- Dorobiliśmy się już swojej wersalki i paru mebli - śmieje się Małgosia. - Mieszkamy tu, czyli na swoim, od sześciu lat.

Całe swoje życie szli jednak innymi drogami.

Droga Małgorzaty

Małgorzata – pedagog, lat 42. Z dziada pradziada lublinianka. Wyszła za mąż w wieku 22 lat z porywu serca, urodziła Kamilę (dziś ma 20 lat, studiuje dziennikarstwo). Mąż, neurotyczny typ, żył swoim życiem. Krzyki, wieczne awantury o nic – to była codzienność w ich małżeństwie. Na początku mieszkali w bloku na Czubach. Potem przeprowadzili się do własnego domu. Małgosia miała gosposię, dobry samochód, pieniądze na zagraniczne wczasy i wycieczki.

- Dla mojego byłego męża ważniejsi od nas byli koleżdy i partia. Odrabiałam z córką lekcje, kładłam ją spać i jak on wracał, to ja wychodziłam. Do koleżanek, do kina, byle jak najdalej od niego. W nowym domu, który miał być rajem, wytrzymałam pół roku. Nawet największe pieniądze i najpiękniejszy dom nie zastąpią spokoju. ▷

Tekst **Alina Gutek** Zdjęcia **Robert Laska**

Zaczęła jeździć w góry, których mąż nienawidził. Kiedyś tam zachorował i postanowił, że w życiu już w żadne góry się nie wybierze. To nawet było jej na rękę. Miała tam spokój, jakiego nigdzie nie zaznała. Dlatego tak pokochała góry. I górską muzykę, której mogła słuchać do woli. Męża muzyka folkowa drażniła. Gdy przekraczał próg domu, trzeba było natychmiast wyłączać wszystko, co grało. Kupiła więc kanarka. Jak była sama, nastawiała płytę i śpiewali razem: kanarek i ona.

- Rozstałam się z mężem nie z powodu alkoholu ani nie z powodu kobiet. Odeszłam, bo znęcał się nade mną psychicznie. To gorsze od bólu fizycznego. Tego, co czułam, nie da się opisać. Gdyby nie Kamila, nie widziałabym sensu w takim życiu. Strasznie mi było ciężko.

Zabrały się kiedyś z Kamilą z lubelskimi radnymi (było wolne miejsce w autokarze) do papieża. Na Świętych Schodach, po których idzie się na kolanach z jakąś prośbą, szła i modliła się: „Boże, proszę, niech coś się w tym moim życiu odmieni, nie wiem co – może, żebym miała odwagę się rozwieść albo żeby on się zmienił, bo tak dalej, Boże, nie da się żyć”.

- Niedługo potem poznałam Jędrka. Ja to tak sobie tłumaczyłam: „Prosiłam i Bóg mnie wysłuchał”. Mam pozwolenie z góry na tę miłość, ale muszę nieść swój krzyż. I tym krzyżem jest choroba Jędrka. Ale krzyż to nie znaczy cierpienie. Choroba Jędrka nigdy nie była dla mnie ciężarem. Całkowicie ją zaakceptowałam. Mój krzyż jest czymś w rodzaju trudu patrzenia na to, jak on zмага się z cierpieniem. Ale to trud niezwykle rozwijający i wzbogacający.

Droga Andrzeja

Andrzej – lat 53. Góral – krzok (czyli przyjezdny, a nie pniok, tam urodzony) – pochodzi z Opola. W Zakopanem znalazł się dzięki tacie, któremu tak spodobało się na wycieczce pod Giewontem, że chwycił za telefon i krzyknął do mamy: – Pakuj rzeczy i przyjeżdżaj. Był 1953 rok. Mama zapakowała, co miała pod ręką, i przyjechała. Wychował się w miłości do gór i muzyki góralskiej – tańczył w zespole góralskim już w podstawówce. Ale nie skończył żadnej szkoły muzycznej, jest samoukiem.

W Zakopanem nie było wtedy średniej szkoły muzycznej, a dla chłopaka, wiadomo, najlepsza była budowlanka, bo dawała przydatny zawód.

W budowlance na szczęście istniał zespół góralski Budorze. Andrzej tańczył także w słynnych wówczas Maśniakach i Bartusiach, wygrał nawet konkurs tańca solowego. Ale cały czas chodziło mu po głowie założenie własnego zespołu. I marzenie się spełniło – założył Krywań. Pamięta, jak miał szansę pojechać z zespołem Bartusia Obrochty na tournée po Grecji. Wybrał wyjazd ze swoim Krywaniem na festiwal folkowy do Miechowa i udział w konkursie o Wierzbową Fujarkę.

- Nie można było śpiewać tego, co się chce, tylko to, co kazali. Ale wyszło mi to na dobre, bo po raz pierwszy zetknąłem się tam z kielecką muzyką, która potem zainspirowała mnie do napisania „Mojego pocieszenia”. No i wygraliśmy, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie powiniennem rezygnować z muzykowania.

Potem było wojsko i kolejny – tym razem wojskowy – zespół góralski. Gdy wyszedł z wojska, Krywań już nie istniał. Postanowił więc reaktywować zespół w nowym składzie, z którym zdobył wielką popularność. Z muzyki nie dało się jednak żyć i utrzymać rodziny (Andrzej się ożenił), zaczął więc pracować w wojskowym ośrodku wypoczynkowym, gdzie wieczorami grywał na potańcówkach, a w dzień był przewodnikiem po górach. Na początku lat 80. tak jak wielu Polaków wyemigrował za chlebem. Do Austrii. Jego małżeństwo nie wytrzymało tej próby.

Kursował między Wiedniem i Zakopanem, gdzie zostały dzieci – Magda i Kuba. Pewnego razu przyjeżdża i zabiera dzieciaki na Mazury. Kupuje Kubie, wtedy 11-latkowi, wędkę. Płyną na środek jeziora, a syn ni stąd, ni zowąd pyta: – Tato, ty przecież grałeś, dlaczego teraz tego nie robisz? – Bo muszę pracować, żeby było z czego żyć. W parę tygodni potem, już w Austrii, dostaje telefon: Kuba miał wypadek, potrafił go pijany kierowca. Leży w ciężkim stanie w szpitalu. Andrzej wsiada w samochód. Do dzisiaj nie wie, jak dojechał. Ale nie zdążył. Kiedy dotarł do szpitala, Kuba już nie żył.

- Dopiero jakiś czas później dowiedziałem się, dlaczego pytał na tej łodzi o moje odejście od muzyki góralskiej. Założył z kolegami zespół góralski, który nazwał Mały Krywań. Dorwał gdzieś starą gitarę i oddał do naprawy. Chciał mnie zaprosić na próbę, jednak trzymał wszystko w tajemnicy. Tego dnia, kiedy szedł po odbiór gitary, na chodnik wjechał pijany kierowca. Długo nie mogłem sobie darować tego, że na tej łodzi nie byłem dociekliwy. Przecież kupiłbym mu gitarę... Gdybym tylko wiedział, że chce grać. Mógłby żyć.

Andrzej czuł, że jest winny Kubie Krywań. Wrócił i po raz kolejny reaktywował zespół. Napisał piosenkę „Moje pocieszenie”, którą śpiewa tak, że serce ścisną:



*A Ty moje pociesenie zostawiłeś
Smutek, zól
Cemuś poseł w ciemnom nocke i nie
Słuchol sumu hol
Nie usłsysz juz w turniach wiatru
granio
I pewnikiem tyz mojego śpiewanio
Przecie ześ tak tego wciol
Synku drogi, jo nie wiedziol ze Cie
Ciesy muzyka
Kie byś sepnon choć słówecko, nie
puściłbyk Cie nika
Razem by my se grali i śpiewali
Nasym śpiewaniem ludzi pociesali
Dziś zostolek ino som
Ale przeciez się spotkomy, przyjdzie
kiejsik taki cas
Popytomy chór aniołów coby śpiewol
z nami wroz
Jo ci podegrom nucicke wierchowom
Ty jom zaśpiewos jo pociogniem
Z Tobom
Na niebieskich polanach*

W tamtych latach Krywania słuchało się wszędzie. Kiedy Krystyna Janda usłyszała piosenki z kasyety „Dwie tęsknoty” (a przygotowywała się do reżyserii „Na szkle malowane” w Teatrze Powszechnym w Warszawie), zaproponowała im współpracę.

- To było wspomnienie doświadczenie - wspomina Andrzej. - Ale wyszły wtedy na jaw różnice zdań między członkami Krywania. Mieliśmy inną wizję przyszłości, nie mogłem też zgodzić się na sposób, w jaki niektórzy koledzy traktowali innych ludzi. W odwecie poszli do urzędu patentowego i zastrzegli nazwę zespołu. Ja też jej używałem, więc odtąd istniały dwa Krywanie.

Małgosia: - Przecież to on założył Krywań! Jakim prawem ktoś mógł zastrzec jego nazwę? Jak można zgarnąć wszystko pod siebie!

Andrzej ze swoim nowym Krywaniem zrobił dla telewizji dwa programy: „Wielkanocne przenosiny” i „Kolędy góralskie”. Idzie za jakiś czas Krupówkami i widzi afisz reklamujący koncert tamtego nie jego Krywania. Słyszy, jak dziewczyna namawia chłopaka: - Pójdźmy na ten koncert, niedawno widziałam ich w telewizji, mówię ci, rewelacja.

- Pomyślałem sobie: „Pracuję nie na mój Krywań, robię im reklamę”! Postanowiłem zmienić nazwę swojego ▷

zespołu na Hawrań, co znaczy „gawron” i jednocześnie jest nazwą szczytu w Tatrach, który upodobały sobie gawrony.

Na skrzyżowaniu

Małgosia wydeptywała w górach te same ścieżki co Andrzej, ale spotkali się z innego powodu. Było tak: Małgosia zaprosiła kiedyś do szkoły specjalnej, w której pracuje, góralski zespół siostr Gronicki. Zrobił furorę. Na 30-lecie szkoły postanowiła ponownie je zaprosić, ale nie mogły przyjechać. Pomyślała w pierwszej chwili o Hawrań, ale zaraz potem doszła do wniosku, że to dla szkoły za wysokie progi. I zadzwoniła do Krywania. Usłyszała: - Koncert charytatywny nie za bardzo nas interesuje, ale powiemy pani, jak załatwić pieniądze, a wtedy, czemu nie.

- Trzeba było zdobyć 4 tysiące, co wydawało mi się nie do zdobycia. Pomyślałam: „A co mi szkodzi, zadzwonię do Hawrań”. Telefon odebrał Jędrrek. Odpowiedział, żebym zadzwoniła za dwa dni, bo musi porozmawiać z zespołem. Byłam pewna, że teraz to go ze dwa tygodnie do domu nie złapię. Ale dzwonię za dwa dni, a on oznajmia: „Przyjedziemy”. Byłam tak zaskoczona, że zamiast podziękować, krzyknęłam: „Jak to przyjedziecie?”.

Andrzej śmieje się: - Powiedziała, że dzwoniła wcześniej do Krywania, a ja mimo wszystko przyjechałem! Strasznie kocham Małgosię za stosunek do ludzi. Za szczerość, prostolinijność, dobroć, serce. Małgosia to największa moja siła.

Małgosia: - Rzuciłam dla niego wszystko w jednej chwili. Wiedziałam, że z nim będę już wtedy, gdy szedł do autokaru, którym mieli jechać na nasz koncert.

Szedł do autokaru na początku czerwca. A pod koniec czerwca Małgosia pojechała do Bukowiny do swojej góralki i, jak nigdy nie pije, tak powiedziała: - Nalej, bo mi odbiło na stare lata. Zakochałam się.

Robiła wszystko, żeby doprowadzić do kolejnego spotkania. Dobry był każdy pretekst: a to zdjęcia z imprezy, a to podziękowanie, jakie zamieściła w gazecie. A jak już nie miała pomysłu, a była w Bukowinie, to zaprzyjaźnieni górale zawsze coś wymyślili. Kombinowała, żeby pojechać w góry choć raz na miesiąc.



- Małgosia zagięła na mnie parol - śmieje się Andrzej. - A ja byłem bardzo ostrożny. Bałem się, bo miałem nie najlepsze doświadczenia z kobietami, a poza tym nie chciałem rozbijać jej związku. Ale kiedy poznałem prawdę o jej małżeństwie, ten powód przestał się liczyć. A potem się okazało, że jest mi z Małgosią wspaniale!

Małgosia: - On niemłody, ja niemłoda - to był desperacki krok. Wszystko musieliśmy w swoim życiu zmienić. No i jego choroba. Dowiedziałam się o niej najpierw poza jego plecami, potem mówiliśmy o wszystkim otwarcie, choć Jędrzek wstydził się tego, że jest chory. Na koncercie kilka razy się zatoczył, a ludzie myśleli, że sobie wypił. Ja mu potem powiedziałam: „Nie powinieneś wstydzić się chodzić z laską, bo wtedy nikt cię nie posądzi, że jesteś pijany”.

Andrzej: - Takie posądzenia raniły. Pamiętam, jak pewnego razu prosto z pociągu przyjechałem do klubu Tango w Warszawie na koncert promujący płytę „Złota Maryla” Maryli Rodowicz, z którą śpiewałem. Kiedy zobaczył mnie jej mąż, oburzył się: „Jak można wychodzić na scenę po pijanemu”. Strasznie mnie to zabolowało. Pierwsze objawy SM rzeczywiście są takie: człowiek wygląda jak pijany.

Na prostej

Pierwsze wspólne miesiące pod jednym dachem, w wynajmowanym mieszkaniu: Andrzej nieufny, wycofany. Były mąż rzuca groźby pod oknami. Kamila zbuntowana: - Miałam 13 lat i pretensje do całego świata. Stawiałam się: „Nie będę mieszkać z obcym facetem”. Chciałam, żeby mama odeszła od taty, bo jej nie szanował, ale nie potrafiłam zaakceptować nikogo innego. Kiedyś nie chciało mi się wracać do domu, teraz nie chce mi się stąd wychodzić.

Małgosia biega do pracy na dwie zmiany. Myśli cały czas o Andrzeju, który siedzi w domu bez zajęcia. Modli się, żeby zaczął coś robić. Podsuwa pomysły. Zachęca. Mobilizuje. Wykrzykuje: - Jędrus, nogi nie śpiewają! Podziałało. Nagrał płytę, pisze aneks do książki Wiesława Białasa o Pęksowym Brzyzku, znanym zakopiańskim cmentarzu.

Andrzej: - Jak się coś robi, to się nie myśli o chorobie. Podniosłem się dzięki Małgosi.

Dla niej napisał piosenkę „Dło sobie pisani”. To historia ich związku w poetyckim skrócie. Kończy się tak:

*Cekołek, tyz jo se, moja kochanecko
Coby zaświeciło nade mnom słonecko
Całe życie los mo groł, teraz mi Cie Pon
Bóg doł.*

Kiedy Andrzej wziął się w garść, zaczęły dziać się rzeczy nie z tej ziemi.

Taki przykład - nie mają ślubu, a dostali błogosławieństwo Ojca Świętego. Dla Małgosi i Andrzeja, wie-

rzających i praktykujących katolików, życie bez ślubu nie jest bułką z masłem. Trudno z tym żyć. Postanowili opisać swoją historię papieżowi. Na nic nie liczyli. I jakież było ich zdziwienie, gdy dostali odpowiedź z papieskim błogosławieństwem.

Cud kolejny - kiedy Andrzej zaczął walkę o wydanie płyty, próbowano go oszukać. W desperacji znów napisali z Małgosią do papieża, dołączając do listu demo płyty. I papież też im odpisał, że modli się w intencji płyty. Niedługo potem odezwała się z Ameryki szkolna koleżanka Andrzeja Marysia Bachleđa, która znalazła w internecie jego adres e-mailowy. Zaczęli korespondować. Tak się przejęła historią z płytą, że zorganizowała piknik, na którym razem z przyjaciółmi Hanią Górą i Wojtkiem Dorulą zebrała pieniądze brakujące do jej wydania.

Małgosia: - Płyta „Moje pocieszenie” to owoc naszej miłości. Jest inna niż wszystkie poprzednie płyty Jędrka. Moim zdaniem najważniejsza i najlepsza. Nagrana z orkiestrą symfoniczną, wspaniale zaśpiewana, ale przede wszystkim - pełna emocji.

Kolejna historia nie z tej ziemi - kiedy zdecydowali się wydać książkę o Pęksowym Brzyzku, poszli z tym do wydawnictwa Bernardinum. A tam usłyszeli, że muszą poszukać sponsora albo dać jakieś gwarancje, że książka się sprzeda. I mniej więcej w tym czasie Marysia Bachleđa skierowała do nich księdza profesora Władysława Zarębczana, autora książki „Polacy w Watykanie”, który szukał w Polsce wydawcy. Małgosia i Andrzej polecili mu Bernardinum, a tam zachwycono się jego książką. Pewnego dnia przyjeżdża do nich sam prezes wydawnictwa i mówi: - Już nie musicie szukać sponsora.

Andrzejowi coraz trudniej się porusza, coraz mniej ma sił. Nigdy nie tłumaczy się jednak chorobą.

Małgosia: - Nie dlatego, że się wstydzi. Zaakceptował chorobę i nie domaga się żadnej taryfy ulgowej tylko dlatego, że jest chory. Jesteśmy winni niepełnosprawnym co innego - podjazdy do domów, sklepów, urzędów. Oni nie chcą litości. Chcą być samodzielni. Pracować. Czuć się potrzebni.

Małgosia nie rozczuła się nad Andrzejem. Pomaga wtedy, gdy on o to poprosi. W domu radzi sobie sam. Poza domem jest z tym dużo trudniej. Ale co tam schody. Andrzej cieszy się tym, co ma. Na przykład tym, że choroba zaczęła się od nóg, a nie od głowy. Więc może pisać! Śpiewać! Rozmawiać z Małgosią!

- Wyszędłem na prostą. Wierzę, że nadejdzie taki dzień, kiedy włączę telewizor i usłyszę: wynaleziono lek na SM. Wierzę, że jeszcze będę krzesać hołubce i tańczyć z Małgosią! □



Andrzej Brandstatter - góralski pieśniarz, tancerz i autor tekstów.

Twórca zespołów Krywań (1972) i Hawrań (1993), z którymi wytańczył i wyśpiewał wiele nagród na festiwalach (m.in. w 1978 roku w Opolu nagrodę publiczności).

Współpracował z Polskim Stowarzyszeniem Jazzowym i Estradą Poznańską. Z zespołem Krywań brał udział w widowisku teatralnym „Na szkle malowane” w warszawskim Teatrze Powszechnym (1992). 19 sierpnia na Międzynarodowym Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem odbędzie się benefis Andrzeja i premiera płyty „Moje pocieszenie”.